

AGA SOTOR

# Do katastrofy jeden krok





AGA SOTOR

*Do katastrofy  
jeden krok*

Cykl Ambaras

Tom 2

dla•czemu

WYDAWNICTWO DLACZEMU

dla•czemu

[www.dlaczemu.pl](http://www.dlaczemu.pl)

Dyrektor wydawniczy: Anna Nowicka-Bala

Redaktor prowadzący: Marta Burzyńska

Redakcja i korekta językowa: Ewa Hoffmann-Skibińska

Projekt okładki: Olga Bołdok-Banasikowska

Łamanie i skład: Szymon Bolek

Copyright © Agnieszka Sotor

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE

WARSZAWA 2023

Wydanie I

ISBN: 978-83-67691-11-6

Zapraszamy księgarnie i biblioteki  
do składania zamówień hurtowych z atrakcyjnymi rabatami.

Dodatkowe informacje dostępne pod adresem:

[kontakt@dlaczemu.pl](mailto:kontakt@dlaczemu.pl)

*Mamie i Tacie –  
z podziękowaniem za wszystkie bajki, które opowiadaliście  
mi w dzieciństwie.*



# Rozdział 1

Dla pani?

– Duża kawa z mlekiem bez laktozy i syropem waniliowym, kanapka na ciepło z mozzarellą i pomidorem, i sernik nowojorski.

Kelnerka przyjmująca zamówienie na kasie przekazała je koledze pełniącemu wartę przy ekspresie. W jej głosie pobrzmiwały echa niechęci połączonej z usilnie zwalczaną zazdrością, gdy patrzyła, jak klientka w białej koszuli z nonszalancko podwiniętymi rękawami odchodzi do stolika. Przy każdym sprężystym kroku loki zawadiacko podskakiwały jej nad ramionami.

„Może pochłonąć te wszystkie kalorie, a dzinsy i tak będą wisieć jej na biodrach, jak na wieszaku, podczas gdy ja od pół roku wyprawiam cuda-wianki, żeby wydobyć skręt swojego mysiego ogona, a gdybym zjadła to wszystko naraz, musiałabym pościć do końca przyszłego tygodnia. Takiej to dobrze!” – pomyślała kelnerka, kontrolnie spoglądając we własne odbicie w szybie szklanej lady z ciastami i poprawiając plakietkę z napisem „Anna” na piersi opiętej przez firmowy fartuszek.

– To chyba ta sama, co ostatnio – mruknął barista Michał, nie odrywając wzroku od klientki.

W przeciwieństwie do większości, klientka, o której mowa, nie niecierpliwiła się przy ladzie ani nie rozglądała za obsługą. Zajęła stolik przy oknie i wygodnie rozłożyła się z laptopem, zakładając lewą kostkę na prawe kolano. Michał miał nieodparte wrażenie, że dopiero co ją tu widział. I zamówienie też takie samo. Tak. To ona. Widział ją tutaj i to nawet kilka razy. Chyba to miejsce przypadło jej do gustu, bo zachowywała się, jak u siebie w domu. Ale gdy Michał postanowił zebrać w sobie całą odwagę i zagadać, przez dłuższy czas się nie pokazywała.

– Pusto. Zaniosę jej do stolika – rzucił niby mimochodem i ruszył przez kawiarnię.

– No jasne – odpowiedziała Anna przez zaciśnięte zęby, wrzucając do śmietnika pusty karton po mleku bez laktozy z większą energią, niż wymagała tego ta czynność.

– Proszę bardzo – powiedział Michał, z uśmiechem stawiając przed swoją ulubioną ostatnimi czasy klientką zamówione przez nią pozycje z karty. – Kawa, panini i sernik – dodał, starając się, by jego głos brzmiał na najniższym osiągalnym przez niego rejestrze.

– O! Dzięki wielkie! – odpowiedziała z entuzjazmem klientka, podnosząc na niego wzrok znad klawiatury laptopa.

Uśmiechnęła się.

Michałowi w ułamku sekundy zaświtała myśl.

– Sernik jest na mleku. Normalnym. W sensie... z laktozą.

– Okej. W porządku – odpowiedziała klientka, upijając łyk kawy.

Ponownie się uśmiechnęła. Jej usta nie pozostawiły na filizance śladów szminki.

– Bo kawa jest na mleku bez laktozy. – Michał tłumaczył te proste zagadnienia, jak gdyby była to fizyka kwantowa,



a że miał wolne ręce i skłonności do spontanicznej gestykulacji, jego dłonie skrzyżowały się w powietrzu, układając palce wskazujące w przeciwnych kierunkach.

– Ach tak! Brawa za spostrzegawczość! – Klientka spojrzała na niego z uznaniem zza szkieł w modnych oprawkach-awiatorkach. Uśmiech wciąż nie schodził jej z twarzy. – W porządku. Tak miało być. Mleko bez laktozy jest słodsze. Po co sobie odmawiać przyjemności?

Oboje zaśmiali się krótko. Klientka zmrużyła oczy, a na jej twarzy wymalowała się błogość kociaka wygrzewającego się w słońcu. Gdy pochyliła się, by sięgnąć po kanapkę, w rozchełstanym dekolcie koszuli rozpiętej o jeden guzik za dużo Michałowi mignął rąbek koronkowej braletki. Gdzieś w tle słychać było brzdęk ceramiki uderzającej o blat. Anna chyba nie podzielała ich humoru.

Michał podrapał się w ucho, rzucił „miłego dnia” i wycofał na swoje miejsce. Schował się za kontuar, zza którego udawał, że nie kontynuuje obserwacji. Jej odpowiedź zbiła go z pantałyku. Ciasto, syrop waniliowy i jeszcze ekstra cukier? To musiała być wyjątkowa dziewczyna.

Zanim „wyjątkowa dziewczyna” wyszła, wzięła jeszcze jedną kawę na wynos. Dobrze, że Anny nie było w pobliżu, więc nie zauważyła, jak Michał głupio się szczyrzył, gdy pytał ją o imię. Alicja. Naprawdę musiała być z krainy czarów. Michał przez moment miał pomysł, by zapisać jej na kubku swój numer telefonu. Ręka z flamastrem mu zadrżała. Znowu się nie odważył i z miejsca tego pożałował. W radiu puścili akurat oldschoolowy hicior Smokie, którego bohaterowie mają spotkać się o północy. Michał obiecał sobie w duchu, że następnym razem to już na sto procent. Następnym razem zmobilizuje całą swoją odwagę i zaproponuje jej spotkanie. Może nawet jutro, jeśli tylko

tutaj wpadnie. Spotkają się o północy, przy świetle księżycy. Alicja wyszła i zanim z nonszalanckim uśmiechem na twarzy zamknęła za sobą drzwi, puściła do niego oko i pomachała mu na pożegnanie. Michał westchnął, uśmiechając się z rozmarzeniem do swoich randkowych planów. Nie miał pojęcia, że on i Alicja podzielą raczej los Jeana-Claude'a i Louise-Marie.

\* \* \*

Roma *de domo* Szymczak, *primo voto* Wiśniewska, a już wkrótce Kowal, z uwagą kota wypatrującego myszy śledziła dłonie młodego wikariusza niespokojnie przewracającego karty grubej księgi. Jej noga obuta w czarną, klasyczną szpilkę miarowo stukała o drewnianą nóżkę krzesła, dając wyraz zniecierpliwieniu. Księżulek dawno minął już marzec i jeszcze nie znalazł wolnego sobotniego terminu. Przecież to czysty absurd!

Numer PESEL Romy Szymczak-Wiśniewskiej zaczynał się od cyfr cztery i trzy, i w zupełności nie pasował do tożsamości osoby, do której go przypisano. W czarnych cygaretkach, czarnej koszuli, beżowym trenczu i jedwabnej apaszcze ukrywającej zmarszczki na szyi Roma na swój wiek ani nie wyglądała, ani tym bardziej się nie czuła. A teraz stała się pełnoprawną panną młodą. Liczby jednak były, jakie były i nie chciały być inne.

Na krzeselku obok siedział przyszły małżonek Romy, Marian Kowal, a głupawy uśmiech uparcie nie chciał zejść mu z twarzy. Marian spędził życie na kolei, ale gdyby ktoś mu powiedział, że po osiemdziesiątce spotka miłość, i to właśnie nigdzie indziej niż w pociągu pędzącym do kołobrzeskiego uzdrowiska, nie uwierzyłby za żadne skarby świata. Nawet teraz, siedząc z ukochaną Romeczką

w kancelarii parafialnej celem ustalenia daty ślubu, którą tak skrupulatnie wybierali, oczom swoim nie wierzył.

Ich związek okazał się bardzo burzliwą relacją pełną komplikacji, jako że sama Roma była burzliwa i skomplikowana. Trochę Mariana wodziła za nos, trochę głaskała, trochę dawała powodów do zazdrości, a gdy Marian już całkowicie zwątpił, że coś z tego będzie i rzucił się w otchłań rozpacz, Romeczka, urządziwszy scenę godną Teatru Capitol, sama mu się oświadczyła. Jak tradycja nakazuje, klękając na jedno kolano.

Zaręczeni byli już od ponad miesiąca, ale w tym czasie ślubne przygotowania niewiele posunęły się naprzód. Marian jako wdowiec, uprzednio szczęśliwie żonaty przez ponad pięćdziesiąt lat, o uroczystości ponownych zaślubin myślał raczej w kategoriach skromnej ceremonii w kościele, a po niej wystawnym obiedzie czy kolacji w gronie najbliższej rodziny i przyjaciół. Naprawdę można by to urządzić choćby w tygodniu. Przygotowanie nie zajęłoby pewnie więcej niż miesiąc. Jego córki dopiero co organizowały wielki zlot rodziny Kowalów, który okazał się imprezą większą niż niejedno wesele, i sprawnie udało im się wszystko dopiąć w parę tygodni. Marian Kowal nie przewidywał, aby jego wesele z Romeczką miało być choć w połowie tak huczne. Jeszcze nie miał pojęcia, jak bardzo się w tej kwestii mylił.

Świeżo przeniesiony do parafii Świętego Maurycego ksiądz Adam stawiał dopiero pierwsze kroki w skomplikowanym świecie biura obsługi klienta lokalnych parafian. Gdyby pracował w jakiegokolwiek innej firmie, nosiłby na piersi naklejkę „uczę się”. Ręce trzęsły mu się ze zdenerwowania, a na czole pojawiły kropelki potu. W ciągu zaledwie dziesięciominutowej wizyty zdążył podpaść pani Romie już dwa razy i zdaje się, że to był dopiero początek.

Najpierw jakoś tak niefortunnie założył, że skoro pani Roma i pan Marian szukają jak najszybciej terminu, to wydało mu się jasne, że na pogrzeb. Jeszcze ten czarny strój pani Romy! Czy nie wskazywał na żałobę? A to się jednak okazało, że na ślub! I to koniecznie w sobotę albo świąteczny dzień w tygodniu poprzedzającym długi weekend. Przechadzający się pod oknem kancelarii stary proboszcz, ksiądz Pafnucy, przybrał ten charakterystyczny dla siebie wyraz twarzy, marszcząc nos i mrużąc przy tym oczy, jak zawsze wtedy, gdy usiłował powstrzymać ziewnięcie. Adam wiedział, że tym razem powstrzymał tubalny rechot. Niby to niedosłyszy, ale słyszał doskonale i nic a nic nie sprostował! Gdy ksiądz Adam już sto razy na minutę przeprosił za to fatalne nieporozumienie, ignorując proboszcza Pafnucego rękawem ocierającego łzy rozbawienia, to znowu dołał oliwy do ognia, uciekając w papierologię. A przy ślubach jedną z głównych formalności jest zaświadczenie o ukończeniu kursu przedmałżeńskiego.

– Najbliższa edycja jest za miesiąc. – Pogrążał się ksiądz Adam.

Proboszcz Pafnucy zakaszłał głośno, a wśród pochrząkiwań dało się usłyszeć ukryte „nie trzeba”. Rychło w czas!

– Za miesiąc!? Niech mnie ksiądz nie rozśmiesza! I co jeszcze? Naturalne planowanie rodziny? Z moich i Mariana dzieci to każde już dobrze po pięćdziesiątce, więc może choć ten świstek to nam już ksiądz daruje? Bo jak tak dalej pójdzie, to prędzej będziemy bawić już u Świętego Piotra niż na własnym weselu!

– Ależ nie, nie! To znaczy tak, tak! Oczywiście, oczywiście! „Mogłem iść do zakonu! I to najlepiej klauzurowego!”. Ksiądz Adam w myślach pluł sobie w brodę.

– Najmocniej przepraszam. Nie, nie, nie będzie nic takiego potrzebne, no jasne, że nie. – Odetchnął głęboko. – Już szukam dla państwa daty, dobrze? Już szukam. Mam! Jest! – Dwunasty września!

– Toż to za trzy tygodnie! – Zdziwił się Marian, wnet orientując się w temacie.

– Przyszłego roku – dodał ledwie słyszalnym szeptem ksiądz Adam z policzkami w kolorze biskupiej purpury.

Pokłady cierpliwości Romy Szymczak-Wiśniewskiej nigdy nie były szczególnie duże i topniały wprost proporcjonalnie do czasu, który zdążył upłynąć od ostatniego wypalonego przez nią papierosa. Miarka się przebrała i nadeszła nieunikniona chwila, gdy przy akompaniamencie ostentacyjnych westchnień Roma osobiście przejęła inicjatywę. Już wstała! Już z godną pozazdrosczenia energią okrążyła biurko! Już sznur pereł wiszących na jej szyi zakołysał księdzu Adamowi przed nosem! Już jej dłonie o krwistoczerwonych paznokciach wrywały się, by przejąć księgę i własnoręcznie dowieść, że tu i ówdzie się przesunie i zaraz się coś szybciej znajdzie, na pewno tak!

– Chłopcze drogi, zacznijmy od początku – powiedziała Roma, opanowując się w ostatniej chwili. Zapomniała okularów, ale przyznając się do takiej słabości, straciłaby fason. Cofnęła się o krok i grzecznie wróciła na miejsce. – Doceniam twój... księdza, przepraszam księdza bardzo, księdza entuzjizm i profesjonalizm, ale jesteśmy tutaj z Mariankiem niecodziennym przypadkiem państwa młodych w zaawansowanym... doświadczeniu życiowym, więc może byśmy zrobili wyjątek i zdali się na radę eksperta. Kogoś w podobnym nam... doświadczeniu w posłudze – kontynuowała, ważąc każde słowo, a przy ostatnim wzrok wyraźnie utkwiała w proboszczu Pafnucym, spojrzeniem błagając

o jego pomoc. – Jestem przekonana, że ksiądz Pafnucy, jak tylko rzuci nam tu swoim mądrym okiem, to zaraz się znajdzie jakiś ukryty wolny termin wiosenny, na przykład w okolicy Wielkiej Nocy i wszyscy będziemy zadowoleni.

Uśmiechnęła się słodko i niewinnie jak na staruszkę pod osiemdziesiątkę (na którą, rzecz jasna, nie wyglądała, Boże broń) przystało.

– Niech się ksiądz Adam na mnie nie gniewa, ale dam sobie rękę uciąć, a dopiero co ją miałam w gipsie, więc wiem, czym ryzykuję, że ksiądz proboszcz Pafnucy to pewnie nie jedną taką parę, jak my, pozenił i zaraz nam jakieś rozwiązanie wymyśli – zakończyła wybuchem teatralnego śmiechu, co to miał rozluźnić atmosferę.

– A tu panią parafiankę zaskoczę! – odparł wesoło proboszcz Pafnucy, zakładając na nos grube okulary do czytania i zasiadając w fotelu, w którym miejsca ustąpił mu wikary Adam. – Będziecie państwo moimi pierwszymi młodymi seniorami! Tak że nie macie pojęcia, jak się cieszę, bo myślałem, że mnie się to nigdy nie przytrafi!

– Naprawdę? Przez te wszystkie lata nie żenił ksiądz nigdy... niemłodych? – Roma nie chciała uwierzyć.

– Naprawdę! – przyznał proboszcz Pafnucy. – A różne ciekawe przypadki mi się zdarzały. Raz nawet udzielałem ślubu tym samym państwu dwa razy.

– Jak to możliwe? – zapytał wytrącony z zadumy Marian.

– Za pierwszym razem pomieszałem papiery i ślub okazał się nieważny. – Ku przerażeniu Romy ksiądz Pafnucy zachichotał niczym mały rozrabiaka, po czym zabrał się za wertowanie księgi. – Co my tutaj mamy...

Pół godziny później Roma Szymczak-Wiśniewska i Marian Kowal opuszczali uroczą małą kancelarię proboszcza Pafnucego z kwitkiem, nie ustalwszy autentycznie nic.

Ksiądz Pafnucy, jak można się było spodziewać, wiosenne-  
go terminu niestety nie wyczarował. Najszybciej mogli się  
pobrać w dzień powszedni pod koniec października, co się  
Romie absolutnie nie mieściło w głowie. Odetchnęła głę-  
boko papierosowym dymem i kazała odwieźć się do domu.  
Niech Marian jedzie sam dowiadywać się w swojej parafii.  
Może będzie miał więcej szczęścia. Ostatecznie widywano  
go na nabożeństwach o wiele częściej niż ją. Może na kartę  
stałego klienta będzie mu przysługiwał wcześniejszy ter-  
min? W milczeniu zapięła pasy i wpatrując się w okno, sta-  
rała się w myślach przekonać samą siebie, że nie popełniła  
największej głupoty na świecie i że ten cały ślub na starość  
to nie jest całkowicie durnowaty pomysł.

\* \* \*

Dni, kiedy Kinga Wiśniewska zrywała się do pracy bla-  
dym świtem i leciała na złamanie karku do korporacji XD,  
brawurowo wykorzystując urodę, urok i wdzięk do wymu-  
szania pierwszeństwa, odeszły już w niepamięć. Obecnie,  
jako szczęśliwa współwłaścicielka restauracji swojego  
ukochanego Roberto, nie doświadczała nawet legendar-  
nych wrocławskich korków, bo pracę zaczynała w połu-  
dnie. A poniedziałkowe późne śniadania z babcią Jancią  
stały się ich nowym, małym rytuałem. Uwielbianym  
przez obie.

Ostatnie lato okazało się przełomowe. Życie byłej już  
korpomenadżerki za sprawą nie jednego i nie dwóch zbie-  
gów zwariowanych okoliczności zmieniło się o sto osiem-  
dziesiąt stopni. Do tej pory wiecznie zabiegana, zapra-  
cowana z tyłoma sprawami do poprawy w życiu, tyłoma  
uczuciowymi rozterkami, emocjonalnymi wątpliwościami  
Kinga Wiśniewska nareszcie osiągnęła życiową stabilizację,

mądrość i stała się wzorem do naśladowania. Zmieniła pracę. Znalazła miłość. Miała czas dla rodziny, przyjaciół. Wreszcie wszystko się poukładało. Zaczęła oddychać pełną piersią. Teraz, osiągnąwszy ten stan, ten spokój ducha, po licznych zawirowaniach mogła dzielić się tą mądrością z innymi. Obdarowywać radami młodszych, niedoświadczonych. Na przykład swoją siostrę Alicję, która ewidentnie niczego nie nauczyła się na jej błędach.

Czerwony mini cooper wślizgnął się z gracją godną jego właścicielki w wąskie miejsce parkingowe pod babcinym blokiem. Kinga energicznie chwyciła płócienną torbę z rzeczami, które przywiozła dla babci. Niedydziejszą wypakowaną do granic możliwości shopperkę do kompletu z równie mocno obciążoną torbą na laptopa zastąpiła zgrabna skórzana listonoszka. W obecnej pracy nie potrzebowała niczego więcej. Wysiadła energicznie i zamknęła auto. Zatrzymała się na chwilę. Przesunęła okulary słoneczne z nosa na głowę i na moment wystawiła twarz do słońca, które opalało na złoto pobliskie korony drzew. Nitki babiego lata tańczyły przy lekkich podmuchach ciepłego wiatru. Tegoroczny koniec lata był wyjątkowo łaskawy. Uśmiechnęła się do własnych myśli i po tej krótkiej kontemplacji piękna życia podbiegła do drzwi wejściowych prowadzących do bloku babci Janci. Nie czekała na głos Janiny w domofonie. Odkąd jej odwiedziny stały się regularne, znała kod do wejścia na pamięć.

Jej palec wskazujący z paznokciem w kształcie idealnego migdała zawisł w powietrzu przy klawiaturze domofonu, gdy na trzymanym w drugiej dłoni ekranie telefonu wyświetliło się zdjęcie roześmianej Alicji.

– Hej, sis, co tam słyhać w wielkim świecie? – Kinga powitała ciepło siostrę, wklepała kod i otworzyła sobie



drzwi, przez chwilę przytrzymując telefon przy uchu samym ramieniem.

– Przeprowadzam się. – W słuchawce rozbrzmiał zdecydowany głos.

– Znowu?

Na Kindze tego typu nowiny padające z ust siostry przestały robić wrażenie po około dwóch latach. Alicja przeprowadzała się częściej niż Kinga wymieniała olej w mocno przecież eksploatowanym samochodzie.

– Jak to znowu? Przecież od pół roku siedzę w Strasburgu.

– Siedzisz?! Czy dopiero co nie wróciłeś z Nowego Jorku? Ostatnich dwóch tygodni w naszej skromnej ojczyźnie nie liczę. Na lotnisku chyba już mówią ci po imieniu. Każdy normalny człowiek na twoim miejscu jeszcze nie zdążyłby się rozpakować. A ty już! Fruu! Dalej. Ale okej. Dokąd tym razem? Niech zgadnę? Grecja? Albo nie! Gruzja!

– Pudło i pudło. Do trzech razy sztuka?

– Węgry. Zdecydowanie, Budapeszt.

– Weź, nie graj w żadne lotto. Masz szczęście tylko w miłości. Do domu. Do Wrocławia. Wracam do Polski.

– Naprawdę? – Kinga aż zapiszczała w słuchawce. – W sensie nie na urlop, tylko przeprowadzasz się z powrotem? Tak?

– Dokładnie tak.

– Na stałe? To znaczy... super! Mega się cieszę, ale... skąd taka nagła decyzja?

– Wieczorem wszystko ci opowiem. Mogę się u ciebie zatrzymać? Rodzice rozkręcili malowanie poddasza i w tej chwili nie chcę zwać się im na głowę.

– No jasne. Zaraz, zaraz... ale jak to wieczorem? Kiedy?

– No, dzisiaj wieczorem. To jest taka pora dnia, kiedy słońce jest już nisko na horyzoncie...

– Już dzisiaj?!

– *Yup.*

– To o której masz lot po południu? – Kinga mimowolnie spojrzała na zegarek, w głowie gotowa pozmieniać swój plan dnia, by móc spędzić go z siostrą. – Przyjechać po ciebie na lotnisko?

– Nie trzeba. Już jestem. Przyleciałam tym o siódmej rano, mam mnóstwo rzeczy do załatwienia. To do zobaczenia, sis! Buźka, pa! – zakończyła i rozłączyła się, podczas gdy zdezorientowana Kinga jeszcze przez dobry moment gapiła się w leżący w jej dłoni smartfon z „ale” zastygłym na rozdziawionych ze zdumienia ustach.

„No, no, no. To mam dla Janki więcej niż jedną dobrą wiadomość” – pomyślała Kinga, otrząsnęła się i szybkim krokiem ruszyła do mieszkania babci.

– Dzień dobry, dzień dobry! – zawołała chwilę później, wesoło przekraczając próg i z miejsca rzuciła się, by ucałować babcię w oba policzki.

– Dzień dobry, Kingusiu! – Pod wpływem uśmiechu w kącikach oczu babci Janci ułożyły się wachlarze zmarszczek. – Siadaj kochanie, śniadanko czeka. A co ty tu niesiesz? Przecież umawialiśmy się, że za organizację śniadań odpowiadam ja – powiedziała babcia tonem naczelniej gospodyni Rzeczypospolitej Polskiej.

– No jak to, co?! – Kinga jednym ruchem zrzuciła buty i już rozsiadła się za suto zastawionym stołem w kącie jadalnianym babci, który to ta urządziła sobie podczas niedawnego remontu. – Włóczki! Tak jak ostatnio rozmawialiśmy. Idzie jesień i o ile twoja propozycja jest nadal aktualna, to według artykułów z poradami z dziesięciu różnych p-smanterii internetowych mam tu wszystko, czego potrzeba na mój wymarzony, własnoręcznie dziergany mięciutki

i ciepłutki kardigan. Tylko moje własne ręce raczej nie po-  
dołają temu zadaniu.

– Ależ kochanie, ja ci z przyjemnością ten sweter zrobię!  
Jaki tylko chcesz! – Babcia z zaciekawieniem przyglądała się,  
jak kolejne motki beżowej alpaki jeden za drugim ustawiają  
się na drugim krańcu stołu, zaraz za dzbankiem z gorącą  
kawą, której aromat wypełniał cały salon. – Ale po co tego  
aż tyle? Przecież ja druty mam!

– Oj, babciu, proszę cię. Coś tam masz, ja się na tych roz-  
miarach nie znam, więc dla pewności kupiłam cały zestaw.  
Podobno najlepszy. A z czego nie będziesz korzystać, to  
możesz dać pani Danusi. Pani Danusia też robi na drutach,  
nie? To jej się przyda. – Kinga zakończyła, uśmiechając się  
promiennie i zaczęła nakładać sobie na talerz po trochę  
z każdego przygotowanego przez babcię dobrodziejstwa.

– A może masz rację, Kingusiu. No, wspaniała ta wełna!  
A jaka mięciutka? – Nitki jednego z motków tańczyły już  
w palcach babci Janci. – To ja się zaraz zabieram za robótkę.

– Ale na spokojnie, babciu! Nie ma pośpiechu!

– Toż to sama przyjemność! – powiedziała Janina, za-  
kładając na nos nowiutkie okulary. Jasnozielone oprawki,  
które doradziła jej pani optyk, nie tylko ją odmładzały, ale  
podkreślały też zieleń jej oczu. – Luksusowa przędza al-  
paka i merinos – przeczytała na głos. – Ale dobrze, masz  
rację. – Janina zdjęła okulary i odsunęła wszystko na bok. –  
Najpierw nasze śniadanko. No, ale lepiej opowiadaj, co tam  
u ciebie! Jak tam w pracy i z panem Robertem? To takie  
piękne, że możecie być razem i w pracy, i w domu. Tak po-  
winno być. – Rozczuliła się Janina.

– Oj tak! Powiem ci, że czasem sama nie mogę uwierzyć  
we własne szczęście. Że to wszystko się wydarzyło naprawdę.  
Zwłaszcza że... – Kinga zawiesiła głos i na chwilę spuściła

wzrok, jakby na dnie filiżanki po kawie czekała na nią wyjątkowa wróżba.

Janina z ciekawości aż pochyliła się nad stołem.

– Roberto był w ostatnich dniach bardzo zajęty. Wiesz, organizujemy w naszej restauracji kurs pieczenia prawdziwej włoskiej pizzy i Roberto miał wiele spotkań, ale... zapowiedział mi dzisiaj wyjątkową kolację we dwoje. – Kinga zakończyła bardzo powoli. – Mówił, żebym niczego nie planowała na wieczór, bo ma mi do powiedzenia coś ważnego.

Spojrzenia babci i wnuczki spotkały się nad porcelanową cukiernicą wyciąganą na specjalne okazje.

– Oświadczy się! – Janina prawie że zapiszczała, zasłaniając sobie usta dłońmi.

– Nie widzę innej możliwości! Nigdy wcześniej nie był taki tajemniczy. To musi być to! Poza tym od czasu zaręczyn Romy zostawiam mu subtelne znaki w postaci porozkładanych po całym domu katalogów mody ślubnej. – Roześmiała się Kinga.

– Kingusiu, tak się cieszę! Gdy tylko powiesz „tak”, to zadzwoń do mnie koniecznie. I zdjęcie pierścionka mi wyślij. Romka nauczyła mnie odczytywać SMS-y – powiedziała Janina z wyraźną dumą w głosie.

Kipiąca radością Kinga nie wytrzymała z emocji i rzucała się babci na szyję.

– Ja też, babciu! Ja też! Taka jestem szczęśliwa! Aaa! I jeszcze coś. W sumie to idealnie się złożyło, bo i tak chciałam, żeby przyjechała na moje przyjęcie zaręczynowe. Nigdy w życiu nie zgadniesz! Ala przenosi się do Polski! I to tu, do Wrocławia!

– Alusia wraca? Na stałe?

– Tak myślę – potwierdziła Kinga. Zerknęła przelotnie na telefon, który w tym momencie, jak na zawołanie,

zabrzącał krótko, wyświelając wiadomość od siostry. – Właśnie mi napisała, że cztery kartony jej życiowego do-  
bytku zostały nadane kurierem i staną w mojej bibliotece  
lada dzień.

– Bogu najwyższemu niech będą dzięki! – Janina złożyła  
ręce jak do modlitwy i wzniosła oczy ku górze. – Wspaniale!  
Kingusiu, co za wspaniałe wiadomości! Moje dziewczyn-  
ki znowu razem, rodzina w komplecie, ślub Romy i twoje  
zaręczyny!

– I twoje urodziny! – Kinga wtrąciła jeszcze jedną pozy-  
cję do tej pochwalnej litanii.

– Tak! – Janina z radości aż klasnęła w dłonie. – Wiesz,  
Kingusiu, już nawet nie musimy planować tej wielkiej im-  
prezy. Te wszystkie wiadomości to lepszy prezent, niż mo-  
głabym sobie wymarzyć.



## Rozdział 2

Alicja Wiśniewska wyfrunęła z rodzinnego gniazdka na dobre zaraz po maturze, a i w czasach licealnych jej rodzice odnosili wrażenie, że więcej córki w domu nie ma, niż jest. Nic w tym niczego dziwnego. Beata i Andrzej Wiśniewscy sami byli obieżyświatami, a swoje pierwsze podróże Alicja zaliczała razem z nimi, wesoło machając nóżkami w nosidle. Zjechała tysiące kilometrów, jeszcze zanim postawiła pierwsze kroki. Babci Janinie nie mieściło się w głowie, żeby zabierać w drogę takie maleństwo, jednak Ala znosiła wyprawy bez porównania lepiej niż nudę. Już jako dziecko potrzebowała być w ciągłym ruchu. Nawet gdy Wiśniewscy przebywali w domu, malutka Alicja przechodziła z rąk do rąk. Spokojne leżenie w łóżeczku nie wchodziło w grę. Ciągłe noszenie, wożenie, kołysanie i huśtanie było na porządku dziennym. I jeśliby się dobrze zastanowić, dwadzieścia pięć lat później życie Alicji wyglądało dość podobnie.

Najpierw wyprowadziła się do Krakowa na studia, w czasie trwania których wykorzystywała absolutnie każdą jedną nadarzającą się okazję studenckiego wyjazdu, wymiany międzynarodowej, programu Erasmus, Most czy praktyk zagranicznych. Przez trzy lata licencjatu niektórzy studenci z jej grupy widzieli ją zaledwie kilka razy. Już wtedy działała jako znana blogerka, ale jej nieobecności bynajmniej nie

były związane z gwiazdorzaniem. Po prostu nie potrafiła wysiedzieć na miejscu.

Dyplomu magistra broniła już w Edynburgu, a rozkręcając własną działalność, która pozwalała jej na pracę zdalną z każdego zakątka świata, mieszkała średnio co trzy miesiące w innym mieście i innym kraju. Najdłużej wytrzymała pół roku – wiosną w Prowansji. Od czasu do czasu, będąc w trasie, zaglądała do rodzinnego Wrocławia, ale nigdy nie na dłużej niż trzy dni. Gdy ostatniego lata po powrocie z Nowego Jorku została na dwa tygodnie, rodzina obstawiała, że wobec tego najprędzej zobaczą ją ponownie na święta Bożego Narodzenia. I to te przyszlóroczne. Jak wielkie było więc zdumienie wszystkich razem i każdego z osobna na wieść o tym, że nie dalej jak tydzień po wyjeździe, po wieloletnim włóczykijstwie, ni z gruszki, ni z pietruszki Ala zdecydowała o wielkim powrocie.

Zgodnie z obietnicą młodsza panna Wiśniewska pojawiła się w salonie siostry i przyszłego szwagra w poniedziałkowy wieczór, dość pobieżnie i ogólnikowo wprowadzając ich w swoje plany. Emocje rosły jednak z każdą chwilą, zwłaszcza że padła wzmianka a to o jakimś zakupie mieszkania, a to o prowadzeniu szkolenia w firmie coachingowej, niby trzydniowego, ale z ofertą przyszłej współpracy. Alicja nie zdążyła jeszcze dobrze odkręcić wody pod prysznicem, gdy informacja o jej powrocie do ojczyzny i przypuszczalnych jego przyczynach rozniosła się w tempie błyskawicy.

Rodzice, Beata i Andrzej Wiśniewscy, stwierdzili, choć bez przekonania, że może ich młodsza pociecha chce wreszcie osiąść gdzieś na stałe. Nie byli jednak w stanie zaoferować jej więcej niż karimatę na kuchennej podłodze, gdyż zainspirowani niedawnym remontem u babci Janci, sami wzięli się za własnoręczne odnawianie swojego poddasza,



nie zastanawiając się do końca, czy wyrobią się z tym do końca sierpnia. Termin gonił ich i to mocno, bo początek września w przypadku pary belfrów to na pewno nie najlepszy czas na takie rewolucje.

Babcia Jancia zaraz zakasała rękawy, zabierając się za pieczenie szarlotki na powitanie swojej najmłodszej wnuczki. Była przekonana, że Alicja skończyła wreszcie z tymi wariackim przewodzkami, żeby osiąść bliżej rodziny. Z entuzjazmem zaoferowała również, by, wobec remontu u Wiśniewskich, Ala zamieszkała z nią.

Najnowszy nabytek klanu Wiśniewskich, Roberto Montenegro, nie miał wątpliwości, że siostra jego ukochanej Kingi najzwyczajniej w świecie chce codziennie wpaść na jego ravioli. Sama Kinga uznała, że zainspirowana zmianami w jej własnym życiu Ala pragnie się wreszcie zakochać i związać z kimś na stałe. O ile, jak podejrzewała, to już nie nastąpiło podczas jej ostatniego pobytu. I to jest prawdziwy powód przeprowadzki. Wraz z Roberto postanowili bacznie obserwować jej poczynania, a już zwłaszcza te w relacjach z braćmi Michalikami, którzy mieszkali z nimi po sąsiedzku.

Roma Szymczak-Wiśniewska parsknęła ochryłym od palenia śmiechem negującym wszystkie powyższe pomysły. Niemniej ciekawość zżerała ją ogromnie, co też przygnało Małą z powrotem do kraju. Miała do niej wyjątkową słabość, gdyż młodsza wnuczka przypominała ją samą, nie tylko z wyglądu, ale też z charakteru. Romka swojego mieszkania zaferować nie mogła, nawet gdyby bardzo tego chciała. Gdy zamieszkała z Marianem, swoje królestwo, które przypominało raczej garderobę diwy w starym teatrze – zagrzone książkami, ubraniami i wazonami z suchymi bukietami od wiernych fanów oraz popielniczkami na każdym

kroku – wynajęła studentom na całe trzy dni przed przyjazdem wnuczki. Sama świadomość tego, że będzie miała okazję częściej widywać Alę, przy tych wszystkich kłopotach, z jakimi obecnie się borykała, była dla niej ogromną pociechą. I rzecz jasna pretekstem do wspólnej zabawy.

\* \* \*

We wtorek od rana Alicja Wiśniewska zdążyła odbyć spotkanie w firmie, gdzie w czwartek miała zacząć cykl szkoleń dla menadżerów, obejrzeć mieszkanie i spotkać się z jego obecnym właścicielem celem omówienia szczegółów transakcji, na którą była zdecydowana od momentu przekroczenia progu budynku oraz wybrać i zamówić drzwi wejściowe, a dzień się przecież jeszcze się nie skończył. Zmierzała właśnie na spotkanie z Romą, a na wieczór umówiła się z rodzicami u babci Janci, jako że babcia tęskniła najmocniej, a mieszkanie rodziców przypominało obecnie pracownię Picassa. Wszystko w niespełna trzydzieści sześć godzin od wyładowania. Zwabiona słodkim zapachem dobiegającym z pobliskiej cukierni uległa pokusie kupienia pączka. Torby pączków. Z czego dwa zjadła, zanim dotarła przed blok Romy i Wandy.

Babcia Jancia była przeuroczą kobietą, ucieleśnieniem dobroci i taką archetypiczną babcią jak z bajki. Strażniczka domowego ogniska, zawsze gotowa nakarmić i naciągnąć na pogaduchy każdego członka swojej rodziny oraz wszystkich swoich i nie swoich przyjaciół i sąsiadów. Alicja kochała ją nad życie. Natomiast Roma to taka babcia tylko na papierze, w rzeczywistości przestały ją z Kingą tak nazywać bagatela piętnaście lat temu. Przekroczona z impetem siedemdziesiątka na liczniku nie przeszkadza jej w tym, by wyciskać z życia wszystkie soki. Zapalona kolarka,

obecnie obnosiła się z tytułem panny młodej, a papieros w jej ustach nigdy nie gasł. Roma nauczyła je mówić po francusku, palić – rzecz oczywista i delektować się smakami życia. Przekazane umiejętności lepiej opanowała młodsza uczennica. Czerpała garściami z życia, podchodząc do niego z dokładnie taką samą kpiną i dystansem, jak jej niedościgniona mistrzyni.

Alicja wbiegła schodami na czwarte piętro, minęła wejście do niegdysiejszego mieszkania babki wynajętego studentom parę dni temu i skierowała swoje kroki do drzwi po przeciwnej stronie korytarza. Po zapachu Chanel N°5 wypełniającym całą klatkę schodową wiedziała, że Roma jest już u pani Wandy. Zapukała *pro forma*, po czym weszła bezpardonowo, zanim ktokolwiek zdążył otworzyć usta w odpowiedzi. Jej nozdrza uderzyła mieszkanka Chanel wzmocniona papierosowym dymem. Roma od zawsze kopciła jak lokomotywa, a pani Wandzia nie pozostawała w tyle.

– Witam, drogie panie! – wykrzyknęła radośnie Ala. – Pączki przyniosłam!

– Fantastycznie, Aluśka! – Ucieszyła się Wanda. – A zrobisz nam, kochana, jeszcze kawki do tych pączusiów?

– *Biensur*, ma się rozumieć – odparła zawiadaczka, wchodząc w podskokach do pokoju. – Pomyślałam o tym już wcześniej – dodała i postawiła na uroczym stoliczku rodem z paryskiego bistro dwa słodko pachnące kubki z kawą na wynos, po czym przywitała się z każdą z pań, całując je w oba policzki.

– *Bonjour, mon amour* – odpowiedziała Roma, głaszcząc wnuczkę po twarzy. – Z różą?

– No ba! – Alicja krzyknęła z kuchni, gdzie buszując w szafkach, szukała talerza na pączki. – Byle czego bym ci nie przyniosła, *n'est-ce pas?*

– Niebiosa cię zesały, dziecko drogie, na ratunek dla mojego zbolałego serca! – wykrzyknęła Roma, zaciągając się spod przymkniętych powiek.

– Jak niebiosa, skoro dzwoniłam, że przyjdę przecież! A co to się stało? Umarł ktoś? Przestali produkować marlboro?

– Weź odpukaj, bo licho jakie usłyszysz, a jeszcze mi tylko tego brakuje – westchnęła Roma, przewracając oczami i łapiąc się na głowę. – A niebiosa, że z pączkami. W końcu cukier krzepi, nie?

– A coś ty taka zmarnowana? Salę miałyśmy ogarniać, a ty, widzę, w nastroju prędej w stylu uciekającej panny młodej... – Alicja postawiła na stole srebrną tacę. Patera z pączkami gryzła się stylistycznie z jednorazowymi kubkami z kawą, ale żadna z pań nie zwracała sobie tym głowy.

– Weź ty, kochana, jej nawet nie podpowiadaj! – Wanda machnęła ręką, robiąc przy tym wielkie oczy. Wstała i chwyciła za pączka. – Bo na obecną chwilę to naprawdę stąpamy tu po cienkim lodzie. A jak wiadomo, mamy pod osiemdziesiątkę i niewiele trzeba do złamanego biodra. – Zarechotała z ustami pełnymi konfitury z różą.

– Tak? A Kinga mi mówiła, żeście z Mańkiem mieli wczoraj do księdza jechać. No to chyba data ustalona, a to przecież najważniejsze.

– Do stu diabłów, Ala! Data! Jaka data? Wszystkie daty zajęte i w ogóle na każdym kroku jakaś katastrofa! – wykrzyknęła markotna dotąd Roma, zamazyując gestykulując ręką z nieodłącznym papierosem. – Czego by się nie dotknąć, to terminy na jakieś kosmiczne daty do przodu. Wiesz, no mogłabym pomanipulować tu i ówdzie, twierdząc, że niewiele mi już życia zostało czy coś w ten deseń, ale nie wiem... chyba sprzyzwociłam przy tym Marianie i jakoś

mi tak głupio. Poza tym dopiero co wsiadłam na rower po tych wszystkich gipsach i bardzo niechętnie ryzykowałam bym ponowną utratę tejże wolności. Tak że nie chcę zape-  
szać, bo licho jeszcze jakie usłyszy...

– A od kiedy ty jesteś taka strachliwa i przesądna? Normalnie nie poznaję cię! – Alicja nie wierzyła własnym uszom. – Weź mi to pokaż! – Wstała i chwyciła babkę za rękę, usiłując zdjąć z jej serdecznego palca pierścionek za-  
ręczynowy. – Może trzeba to do Mordoru zanieść i w ogień rzucić! – Błysnęła zębami w uśmiechu, a kawałek lukrowej polewy zamigotał w dołeczku jej policzka. – Odkąd dłużej nosisz, to źle na ciebie działa!

Wanda Pochmurna ze śmiechu parsknęła w kubek z kawą, aż brązowe krople napoju prysnęły jej na spodnie.

– Aluśka, dziecko, jak ciebie tu brakowało! Jak tak czasem na ciebie patrzę, toż jakbym Romkę sprzed sześćdziesięciu lat widziała!

– To niemożliwe, pani Wandziu, ona przecież tyłu nie ma. – Puściła oko do babki, ale widząc kompletny brak reakcji na jej twarzy, zrozumiała, że skoro Romę Wiśniewską opuściły żarty, to sprawa jest wręcz krytyczna.

– Oj tam, oj tam śluby! Po co komu takie ceregiele, co nie? Pani Wandziu? – ciągnęła Ala, zmieniając temat. – Niech mi pani lepiej opowie, i to zaraz, jak tam się pani układa z panem majorem!

Wanda Pochmurna była Romie niczym rodzona siostra z nieznanego ojca; nierozłączne od czasów licealnych, co, reasumując, sprawiało, że więcej życia przeżyły razem niż osobno. Alicja i Kinga przydzieliły pani Wandzie rolę trzeciej babci, a raczej serdecznej ciotki, bo babciowato to Wanda nie kojarzyła się nigdy w życiu. Stara panna, wieloletnia nauczycielka francuskiego, a dla nich przede

wszystkim zwariowana przyjaciółka Romki o wyglądzie pozwalającym jej spokojnie być dublerką Jane Fondy.

Wanda poznała majora Bajora tego lata w iście filmowych okolicznościach, a ich znajomość z początku wydawała się nawet z lekka tragikomiczna. Major Bajor sąsiadował z Romą na ogródkach działkowych i był jej starym znajomym, z którym przed laty co nieco randkowała. Panie przypomniały sobie o nim z powodu kombinatorskich zagrywek fachowców „po znajomości” remontujących latem mieszkanie Janiny Kot, które to zagrywki przyprawiły Janinę o nie jeden skok ciśnienia. Roma spędziła jednak lipiec i sierpień z ręką na temblaku i nogą w gipsie. Numer telefonu do majora przepadł jej w czeluściach poprzedniego, zepsutego aparatu telefonicznego i jedynym sposobem, jaki im pozostał na skontaktowanie się z panem majorem, okazało się wysłanie Wandy na zwiady, niczym kuriera carskiego, z listem od Romy.

Stare porzekadło „za mundurem panny sznurem” okazało się być dla Wandy fatalnym przeznaczeniem. Z miejsca ugodziła ją strzała amora, tym samym sprawiając, że wolna i niezależna Wanda na starość straciła głowę. Perypetiom zdawało się nie być końca. Major Bajor bowiem, najpierw chciał wrócić do łask samej Romy, a przyszły narzeczony Marian zdawał się nie stanowić żadnej przeszkody. Wanda natomiast była przekonana, że niosąc pomoc damie w potrzebie – znaczy się Janinie – sama stała się obiektem jego uczuć. Janina chcąc z dobrego serca wszystko poukładać i naprostować, w konsekwencji jeszcze bardziej namieszała. Marian z Romą zerwał, a Wanda się z Romą posprzeczała jak jeszcze nigdy w ich sześćdziesięcioletniej przyjaźni. Ostatecznie wszystko się dobrze skończyło. Przyjaciółki się pogodziły, Roma oświadczyła się Marianowi, a Major Bajor

wielokrotnie odrzucany przez honorową Wandę, co go już wcale nie chciała, chociaż nie był Niemcem, nagle zapałał do niej gorącym uczuciem. Wanda zafundowała Józefowi całą serię testów, zanim w formie nagrody rzuciła mu się w ramiona, lecz major Bajor był cierpliwy i zdyscyplinowany. I nie oszukujmy się, wyszła z niego żyłka łowiecka.

– Ach, Aluśka! – Zacmokała Wanda, mrużąc oczy. – Romeo z Julią i Tristan z Izoldą to mnie i Józskowi mogą buty czyścić!

– *Oh la la*, to fantastycznie! Tylko pozazdrościć! – Ala oblizała usta z lukru. – Bardzo się cieszę, że się pani układa, pani Wandziu. – Uśmiechnęła się szeroko, aż jej oczy zrobiły się ukośne jak u kotki.

Roma nigdy nie należała do osób skorych do zwierzeń i nostalgicznych rozmyślań. Najlepszym sposobem na wydobycie z niej, o co tak naprawdę chodziło, było całkowite ignorowanie jej problemu i jej samej. Zaliczała się do tych, które wolałyby zostać w twarz obrzucone wyzwiskami niż zignorowane i Alicja nie potrzebowała obecnego dyplomu psychologa ani certyfikatu coacha, żeby o tym wiedzieć. Zrozumiała to doskonale sama z siebie w wieku pięciu lat. Wystarczyło kompletnie ignorować babkę, żeby w ciągu paru sekund mieć jej pełną uwagę.

– Dobra, dziewczyny! Koniec tego romantycznego pitu, pitu, ja tu problem mam! – wykrzyknęła Roma.

– Strach przed ślubem cię obleciał? – Alicja puściła do Wandy oko i obie odwróciły się w jej stronę.

– Gdzieżby tam! Co to, ja się nie mam czego bać? – Cmoknęła z niecierpliwością Roma. – Chodzi o wesele...

– Wesela nie będzie?

– Weź jej nie podpowiadaj, bo my z Józkiem chcemy iść. Tak dawno na żadnym nie byliśmy!

– Będzie! I to huczne! – dodała, jakby nie wiadomo kogo chciała nabrać. Że niby huczne imprezy miały być do niej niepodobne?

– No to w czym rzecz? – zapytała Alicja – Marian nie chce hucznego?

– Na huczne, to pani kochana, terminy są! Najprędzej przyszły rok! – Roma wstała i zaczęła krążyć po pokoju, mocno przy tym gestykułując. – Odpowiednia data w kościele dopiero na przyszły wrzesień. Wysłałam Mariana do jego parafii, a tam jeszcze później! Ja przy tych całych oświadczeniach to zupełnie o ślubie nie myślałam. W sensie, że to tak będzie wyglądało. Jakoś sobie to wyobrażałam prościej.

– Ale to wbrew pozorom jest proste. – Alicja wzruszyła ramionami.

– No tak! Wiem! Ale wtedy nie będzie huczne! – Roma nachmurzyła się jak przedszkolak, który nie może iść na bal przebierańców w tym, w czym chce. – Wiem, że może być nawet teraz, zaraz w tygodniu i z obiadem, do diaska, w Kingi restauracji. Marian to w ogóle chciałby małego i cichego ślubu kościelnego, i kameralnego przyjęcia dla rodziny.

– Ale w tym celu musiałby chyba wymienić wybrankę na inną. – Wanda weszła Romie w słowo.

– A ta jego rodzina to w ogóle... – ciągnęła Roma. – Skaranie boskie z nimi wszystkimi! – prychnęła z niezadowolaniem. – A ja chcę z przytupem! Czy ja nie zasługuję, żeby moja ostatnia wielka impreza w życiu była z przytupem?

– Romka, nikogo, kto ciebie zna, to ani trochę nie dziwi – odparła spokojnie Wanda. – Zaklepcie sobie ten wrzesień i zanim się zorientujesz, i ogarniesz te wszystkie restauracje,



cateringi, kwiaty, zespoły muzyczne, to rok ci minie jak z bicza trzasnął!

– A już ci ostatnia impreza! – Tym razem Alicja weszła w słowo Wandzie. – Nie zapominaj o pogrzebie. Choć, znając cię, to pociśniesz jeszcze z trzydzieści lat i zaliczysz wszystkie huczne weselicha, Kingi, moje, pani Wandy... – Znacząco kiwnęła głową do przyjaciółki babki.

Wanda wyszczerzyła się i rzuciła do telefonu, który naraz się rozdzwonił. Skoro Roma siedziała w jej własnym salonie, dzwonić musiał nikt inny jak major Bajor.

– Ja wiem, że rozsądniej by było dać spokój, zrobić mały ślub i mieć to wszystko z bani. – Roma wydawała się co najmniej bezwzględnie niepokieszona, że nie może mieć ciastka i zjeść ciastka. – A z drugiej strony... po jaką cholerę robić wesele, którego się nie chce?

– Oj tam, Roma, już rozsądniej! – Zniecierpliwiona Ala postanowiła przywołać babkę do porządku. – Od kiedy ty się takimi duperelami przejmujesz i robisz to, co rozsądne? Głupie to jest podporządkowywanie ślubu pod wszystkich w koło. Jesteś w tej komfortowej sytuacji, że rodzice i teściowie nic ci nie będą narzucać. Twój ślub, twój cyrk i twoje małpy! Chcesz duży? Będzie duży. Chcesz mały? Będzie mały. Dawaj tylko decyzję i bierzemy się do roboty, bo ja się tu, w przeciwieństwie do ciebie, młodsza nie robię.

– Chcę duży! Bo nie miałam i mi się należy, a co!

– No i już! Na sto osób?

– Na sto!

– *Et voilà!* – Alicja klasnęła w dłonie, po czym wstała i wyciągnęła z torebki laptopa. – To ja się biorę do pracy i obczajam teraz, zaraz, natychmiast, jak wygląda sytuacja z salą na sto osób. A ty się absolutnie nie przejmujesz

terminami, tylko tutaj z Wandą wymyślcie, proszę ja was, jaką sobie życzysz suknię z welonem.

Wydawałoby się, że sytuacja została opanowana i Roma z typową dla siebie energią zapali kolejnego papierosa i rzuci się do przeglądania stosu ślubnych czasopism, szukając inspiracji. Że zacznie wybrzydzać na biel, tiule i koronki i wyskoczy z jakimś szalonym pomysłem w stylu legendarnego ślubnego garnituru Bianki Jagger z siedemdziesiątego pierwszego. Tymczasem do uszu Alicji dobiegł jęk rozpaczny. Roma Szymczak-Wiśniewska teatralnie zasłoniła oczy dłońmi i wyrzuciwszy z siebie wiązanek fantazyjnych przekleństw, wykrzyknęła w stronę niebios: – W co ja żem się wpakowała i po co mnie to było?

Nie doczekała się jednak odpowiedzi na swoje egzystencjalne dylematy, ponieważ powietrze przeszył pisk podnieconej Wandy, która z dynamizmem Rolling Stonesów wparowała do własnego salonu, wciąż trzymając w dłoni telefon.

– Zmiana banana, dziewczyny! Ślub poczeka, bo tego kłopotu i tak teraz nie rozwiążemy. Wyjeżdżam jutro! Szybko! Musimy mnie spakować!